Rozdział IV - Kłopoty

W swych niekończących się opowieściach o tego rodzaju przybytkach korsarze przedstawiali tego rodzaju wydarzenie dość jednolicie. Z szeregu urodziwych panien wybrać miał jedną bądź więcej samodzielnie, według swego upodobania. Stało się jednak inaczej i przydzielona odgórnie, wzbudziła w nim od początku niechęć.

Nie dlatego, że była niełądna, bo wręcz przeciwnie; nie, że się o niego ocierała, siadała mu na kolanach i szeptała do ucha sprośności, bo to go podniecało i zamierzał skorzystać w ramach wykonywania zadania z gościnności domu, ale, że dużo piła i natarczywie nalegała, aby dotrzymywał jej towarzystwa. W jego odczuciu, w aż nadto czytelnym, ordynarnym zamiarze upicia go i nie widział w tym innego powodu, poza zdradzieckim zrobieniem go w wała, ograbieniem i nocnym wywaleniem na bruk, gdzie zostałby natychmiast aresztowany. Była tak namolna, że w końcu zapytał, czy aby za nią nie zapłacił? Niedelikatnie.

Odpowiedziała twierdząco, prosząc, żeby się nie wściekał, na co on zażądał numeru noclegu, nakazując, aby odeszła i tam na niego oczekiwała. I chociaż było widać, że nie podoba jej się jego postawa, zachowała się profesjonalnie i wyniosła. James odczekał pół godzinki i wyszedł na salę nieco się rozejrzeć, a przy okazji skorzystać z toalety.

Gapili się na niego wszyscy, lecz nawet będąc ponadnormatywnie przenikliwym, miał problem z rozpoznaniem, z jakiego głównie powodu. Mogło to być polecenie szefa dotyczące niespuszczania z niego oczu, zwykła pożądliwość wobec ładnego, postawnego chłopca, z męskiego, jak i kobiecego punktu widzenia, czy ciekawość wobec człowieka, który ściął łepetynę sławnemu zbójowi. Czy tak, czy siak, on nie miał najmniejszych szans na dyskretne przemierzanie lokalu, ale to było właśnie częścią planu. Liczył, że Humbak słyszał bosmana wypowiadającego zaczepkę i że zrozumiawszy ją, zechce wejść z korsarzami w układ.

>>><<<

Kiedy bosman zabierał ekipę na okręt, znalazły się dwie tchórzliwe łajzy. Pijane. I nie dość, że odmówili powrotu, to jeszcze zażądali części łupów z potyczki i cud tylko uratował ich przed zatłuczeniem na miejscu przez Meryla. Albo i wielki pech.

James, po wyjściu z toalety, o której wystroju wnętrza można byłoby napisać poemat, i nawet dydaktyczny, natknął się na nich w fazie tonięcia w wielkiej kupie. Otoczeni przez strażników, ze związanymi do tyłu rękami, klęczeli, gdy sam Humbak wysłuchiwał raportu. Mówił jeden z jego ludzi.

— Chcieli sobie wyjść bez zapłaty. Janine krzyknęła. Chcieli my ich zapytać. Wyciągnęli to. — Trzymał w ręku pokaźne noże, co do których sam James mógłby przyciąć, że należą do powiązanych. — Pan Morou...? — padło pytanie.

— Jest na górze, w swoim saloniku. Poproś — zgodził się Humbak. — A tych, do ich kajuty! — rozkazał pozostałym.

Zatrzymani zadrżeli trwożnie, gdy ich niedelikatnie podnoszono, w panice rozglądając się wokół siebie. Poszukując pomocy, spostrzegli Jamesa.

— On jest z nami! — wrzasnął ten o imieniu Liszka.

— Nie wydaje mi się! — wziął Jamesa w obronę Humbak. Zapewne z wdzięczności za ukatrupienie Rudobrodego.

— Ale to nasz, pan Madera! — dorzucił drugi, Kiszka. — Trochu my nie dopłacili — próbował przekonywać, zwracając się płaczliwie do Jamesa. — Może pan dopłacisz?

James posiadał jedną, niepożądaną cechę. Nawet największe kanalie, w chwili zagrożenia ich marnego żywota, potrafiły w nim wzbudzić litość i sympatię. Jego wychowawca, major M. Five, próbował to z niego wyplenić, wiedząc doskonale, że w realnym życiu będzie to skutkowało tarapatami, lecz otoczenie temu nie sprzyjało. Mieszkali wszak w sierocińcu, a tam ciągle ktoś był poszkodowany przez silniejszego, zmuszając Jamesa do stosownych reakcji.

Najczęściej to on wtedy kończył jako poszkodowany, i taki, za którym nikt się już nie ujął. Ale gdy raz spróbował zignorować swoją wewnętrzną potrzebę niesienia pomocy, skończyło się to dla jednej dziewczynki tragicznie i nie pomagało pocieszanie się faktem, że sama była sobie winna.

Przypomniał to sobie właśnie i zareagował według sumienia.

— Zapłacę.

— To bez znaczenia — oświadczył Humbak. — Wnieśli broń...

— I chcieli użyć! — dorzucił gniewnie jeden ze strażników.

Bezpardonowo wciśnięto więźniów do kajuty. Zapobiegawczo, aby nie czynili niepotrzebnego rwetesu, także ich kneblując. James, pragnąc negocjować, mimo wszystko, zdał sobie jednak sprawę, że jest to problematyczne. Że uratowanie łajz z łap Morou, odda je w ręce Dracena, gdzie czekał ich przecież sąd za dezercję. I to podczas wykonywania misji.

Doktor zjawił się nadzwyczaj szybko, a Jamesowi pozwolono na pozostanie w środku.

— Może jednak się dogadamy? — Jego praworządna natura ciągle brała górę.

Humbak się zdenerwował. Widoczne po nim było, że nie przepada za towarzystwem Morou i pragnie jak najszybciej zamknąć całą sprawę.

— Nie rozumiem, dlaczego pan ich broni? — odpowiedział z pretensją. — Tak się składa, panie Madera! — podniósł głos, wskazując zatrzymanych palcem. — Że ja widziałem tych dwóch rejterujących z pola walki, jak wpadają do lokalu! Przede mną! A potem wcisnęli się w kajutę! — Zrobił przerwę, na zaczerpnięcie oddechu, by dopowiedzieć pogardliwie: — Czy pan wie, że dopiero po godzinie od waszego wejścia dowiedzieli się, że to Rudobrody poległ, a nie wy...?!

James nie miał na to kontrargumentu. Prócz oczywistej chęci postawienia dezerterów przed właściwym wymiarem sprawiedliwości. Zmilczał.

— Zapadł zmrok — dopowiadał Humbak, po spojrzeniu na zegarek. Zmienionym, znudzonym tonem. — Mamy już cztery przestępstwa. Panie Morou...?

— Zajmę się nimi — padła krótka, beznamiętna odpowiedź.

— Co to znaczy? — James zwrócił się do Morou, zmuszając się całą siłą woli do niebrnięcia w przegraną sprawę. — Chciałbym móc cokolwiek wyjaśnić kapitanowi. Chociażby po to, by nie wysyłał nikogo na poszukiwania?

— Jakiś czas spędzą w moim zakładzie dla obłąkanych — odpowiedział doktor. Miał głęboki, ale też nieco drżący głos. Jakby niepewny, mający coś do ukrycia. — Badam ludzkie zachowania...

— Nie są obłąkani — sprzeciwił się, znów dla zasady, James.

— Naprawdę...?! — Roześmiał się doktor. — Panie Madera, naprawdę...?! Ludzi dezerterujących z korsarskiego okrętu uważa pan za normalnych...?!

— To tylko pijani głupcy.

— A ja to zbadam — zgodził się połowicznie Morou z uśmiechem, po którym Jamesowi przeszły ciarki po plecach i prychając na koniec: — Gdy dezerterowali, byli raczej trzeźwi, nieprawdaż...? — James nie odpowiedział. — Ale jeżeli wolą pana będzie, poinformowanie nas tu obecnych, że to pańscy ludzie i działający z pańskiego rozkazu...? — zdawał się zachęcać. I dalej, po każdym pytajniku robiąc kusząco-kpiące przerwy, tak, jakby przejrzał Jamesa i odkrył jego skazę. — Zapłacić ich rachunek...? Oddać im swój pokój i tancerkę, i zająć ich miejsce...? Przyznaję, że pan mnie frapuje bardziej niż nawet tuzin podobnych obwiesi...? — Nie ulegało wątpliwości, że była to także zawoalowana groźba.

Uznając dalszą dysputę za bezcelową, James musiał znieść po męsku swoistą porażkę i coraz bardziej niemęskie zachowanie byłych kolegów z pokładu i odezwał się już tylko do Humbaka z prośbą o rozmowę na osobności. Ten się opierał i zgodził niezbyt chętnie, dopiero po trzeciej prośbie obiecując zajrzeć do Jamesa kajuty.

Wyprowadzani jęczeli, próbując się wyrywać. Wyglądało na to, że zaczynali trzeźwieć i że o Morou słyszeli znacznie więcej niż James.

>>><><<<

James nie miał przy sobie wyrąbanego liściku, mógł więc podejrzewać, że Guerre Humbak nie zechce z nim współpracować bez sowitego wynagrodzenia od ręki. Gdy jednak właściciel wszedł do kajuty i rozsiadł się, z pokazowym odprężeniem, chłopiec odniósł wrażenie, że nawet nie będzie potrzebował tego zachęcać. Jakby w międzyczasie decyzję już zdążył podjąć, chociaż wypowiedziane przez niego słowa temu przeczyły.

— Czy pan oczekuje ode mnie, że zmienię prawo?

— Hiszpanie wydali na pana wyrok śmierci — nie dał się nabrać James.

— Hiszpanie nie mają tu wstępu.

— Niech pan daruje mi takie... I mnie wysłucha — zaproponował chłopak. Humbak wzruszył ramionami z wyraźnie fałszywą obojętnością.

James mówił niezbyt długo, za wskazówkami bosmana proponując ucieczkę oraz udziały w zyskach i zabranie przyszłego informatora do Anglii bądź wybranego, innego kraju. Humbak zgodził się zastanowić i co Jamesa nie zaskoczyło, bez ceregieli.

— Proszę korzystać z naszej gościnności — powiedział, wstając — Rano udamy się na wasz statek.

— Co tam zastanę? — James go zatrzymał.

Przez twarz Humbaka przebiegł niepokój. Roześmiał się hałaśliwie, starając się to ukryć. Jego złe zamiary zdradził już jednak nie tylko fałsz zachowania, ale i nieopatrzny, ledwie zauważalny odruch poklepania się po pachwinie. Wyraźnie sugerujący nieuczciwość przybysza poprzez upewnianie się co do zawartości ukrytej pod marynarką.

„Nie czekaj, aż cię zabiją”

Nie było to nawet walką. James przeskoczył przez stół, niezbyt mocno uderzając Humbaka ostrzem otwartej dłoni w splot słoneczny i zanim posadził, łapiącego oddech przeciwnika na kanapie, zdążył go rozbroić.

Kelnerka, podając aperitif, wiedziała dokładnie, ile naczyń ma się znaleźć na tacy, więc James uznał, że wnętrze musi być obserwowane. Choćby przez tancerkę, która i obecnie, nie przerywając pracy, zdawała się dodawać do niej gesty zawierającej coś więcej aniżeli tylko erotyczne podteksty. Czasu więc nie miał i przesłuchanie obezwładnionego postanowił odłożyć na później.

— Pójdzie pan ze mną! — Podniósł go niedelikatnie, przystawiając dwulufowy pistolecik do nerki i by spotęgować odbiór, zadzierając mu koszulę i wbijając zimne lufy bezpośrednio w ciało.

— Nie ujdziesz pan daleko. Morou...!

— Może — przyznał James. — Może pańscy ludzie mają pana za nic. Gdzie Morou? Na górze? W moim pokoju?

— Na górze, ale u siebie — odpowiadał, pozbawiany paska Humbak. — Cenię sobie moje dziewczynki... — Jego ręce, sprawnie zostały wykręcone i unieruchomione z tyłu. James trzymał w lewej dłoni końcówkę paska.

>>><><<<

Za drzwiami stało trzech ludzi Humbaka. W pozach napiętych, ale bez widocznej broni. Reszta lokalu funkcjonowała swoim rytmem, nie zwracając uwagi na wydarzenia dotyczące ich dwóch i co dodało chłopcu otuchy, nie było widać doktora.

Podczas wyjścia do toalety, zarejestrował kilkoro drzwi poza głównymi wierzejami i teraz wybrał jedne z nich, wskazując je trójce ochroniarzy głową.

— Panowie przodem. — Pozwolił im na dostrzeżenie pistoletu. — Nie mam tak jakby wyboru, więc po-

zabijam bez wahania — dodał bez drżenia głosu.

Humbak go poparł. Licząc, że jakoś się z tego wykręci, wolał zniknąć z miejsca, w które mógłby zajrzeć zainteresowany postępem podstępu Morou. Wiedział doskonale, że w zaistniałych okolicznościach zostałby bez wahania poświęcony, byleby tylko doktor mógł dostać w swe łapy Jamesa. I chociaż nie do końca rozumiał, czego od niego tak naprawdę chce, gdyż w zemstę za Rudobrodego, u kogoś tak zimnego, ani trochę nie wierzył, to już we wściekłość za popsucie planów, owszem.

Ochroniarze weszli pierwsi i przytrzymali im drzwi. Znaleźli się w kuchni, zarządzanej przez rosłego Zambo, przypatrującego się im z niechęcią władcy, najechanego przez wrogą armię. James uznał tasak w jego dłoni za zagrożenie najwyższego stopnia.

— Każ mu to odłożyć — zwrócił się do Humbaka. — Albo zostanie mi jedna kula. Ta przeznaczona dla ciebie. — Mówił półgłosem, ale szef kuchni usłyszał, zrozumiał i uwierzył, bo bez napominania odłożył narzędzie.

Kilka dalszych poleceń stłoczyło pracowników po jednej ze stron, a reagowanie na sytuację wybił im ostatecznie z głów, kiedy mały kucharz-bohater, któremu znudziło się granie drugich skrzypiec i chciał u szefa przypunktować, rzucił się na Jamesa z boku, z nożem w ręku.

Dostrzegł go późno, ale na tyle dostatecznie, by móc zasłonić się Humbakiem i to w tego ramieniu utkwiło ostrze, gdy usta wyrzucały obelgi pod adresem nożownika.

„Muszą widzieć twoją bezwzględność".

Roześmiał się okrutnie i złośliwie. Pozornie nie zawracając sobie głowy ostrzem, brutalniej niż dotąd popchnął rannego do wyjściowych drzwi, szybkim ruchem wyrywając nóż z rany. Rzut odwetowy był mocny i celny. Mały kucharz wrzasnął głośniej niż jego szef, upadając i w zdumieniu gapiąc się na wbite w udo narzędzie.

— Za chwilę uznam, że jesteś dla mnie zbyt dużym ciężarem — dodał jeszcze James, w chwili próby spowalniania przez Humbaka marszu.

Wyjście zatarasowała im mała dziewczynka. Próbowała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu.

— Odsuń się i podaj czystą ścierkę! — rozkazał, ani przez chwilę nie pozwalając sobie na spuszczenie wzroku z pozostałych obecnych.

>>><><<<

Plan był prosty i niewykonalny, a co Humbak próbował mu uzmysłowić, głośno zapewniając wszystkich obecnych, że daleko nie ujdą.

— Sami nie — zgodził się z nim szyderczo James. — Ale jeżeli czeka na mnie wsparcie...?

Pozwolił dziewczynce na wsunięcie pracodawcy złożonej na czworo ścierki pod koszulę i nakazał wrzucić mu do obu bocznych kieszeni marynarki po pęcie kiełbasy. Następnie wyjął z zamka klucz i przełożył go na zewnętrzną stronę drzwi. A po wyjściu przekręcił i pozostawił w pozycji uniemożliwiającej wypchnięcie.

Wiedział, że tamci już biegną do drzwi wyjściowych, dlatego też nie obrał dla ucieczki kierunku przeciwnego, ale pociągnął brutalnie więźnia ku nim, by po chwili odbić i skręcić tam, gdzie według instrukcji bosmana znajdowała się krótka uliczka z zakrętem, wyprowadzającym na prostą drogę do jednego z punktów odbioru.

Ludzi przed lokalem nie brakowało. Wchodzących, wychodzących, niezdecydowanych. Jednak zajętych wyłącznie swoimi sprawami i do pierwszych świateł, błyskających obecnie monotonną pomarańczarnią, udało im się dotrzeć bez wzbudzania czyjegokolwiek zainteresowania. Zrobili to tak płynnie, że gdy James się obejrzał na drzwi wejściowe, ciągle jeszcze nie pokazali się w nich uczestnicy pościgu. Nie czekał na nich.

Drugi zakręt, ze sprzyjającą pozostałością, chuligańskiego wybryku pod postacią stłuczonej latarni i... rozległ się chichot Humbaka. Nieco rzężący. Uliczka okazała się ślepa.

— Pół roku temu zamknięto ten odcinek i...

James złapał więźnia, uniósł do góry i przerzucił nie bez trudu nad dwumetrowym ogrodzeniem. Usłyszał: „O jejku, jejku mamusiu!", po czym podciągnął się na rękach i wylądował obok Humbaka. I dwóch psów.

>>><><<<

Były kompletnie zaskoczone i doskonale Jamesowi znane. Wprawdzie on także zdziwił się nieco ich widokiem akurat tutaj, jednak Karaiby uznał za wystarczająco blisko leżące Ameryki, by móc uznać fakt za prawdopodobny.

Odwieczny wróg Toma wyglądał nieco strasznie w swej obroży i nawet warknął z cicha, ale drugi- Pluto, zamerdał wesoło ogonem, a James natychmiast opróżnił kieszenie marynarki Humbaka.

— Coś za coś — pomachał kiełbasami przed nosami psów. — Jecie i pilnujecie. Co wy na to ? — Popatrzyły na siebie, wyrażając zgodę skinieniem łbów, a James je po nich poklepał. — Połowa teraz, połowa po robocie — zastrzegł. — I żadnego ujadania!

Wskazały łbami Humbaka z wyraźnym sceptycyzmem.

— I rozszarpywania — dopowiadał. — Facet jest mi potrzebny. Więc tylko go pilnujecie. — Sięgnął po Humbaka butonierkę i zakneblował go. — Ja muszę zorganizować jakiś pojazd. — Zawarczały, kręcąc głowami w zdecydowanym sprzeciwie. — Pożyczyć? — Zgodziły się.

James przełamał jedno pęto i podzielił psy. Nie jadły, więc uznał, że pewnie zechcą wyżerkę zakopać, ale cóż go to niby miało obchodzić. Wyprostował się i zapytał:

— Którędy do właściciela?

Tym razem wymiana porozumiewawcza psich spojrzeń była nieco dłuższa, ale chociaż nie do końca ufnie, Pluto wskazał mu w końcu taras na piętrze, z wyraźną sugestią ominięcia oficjalnej drogi. Uznając, że jest to zaufania dostateczny szczyt, James oddał psom drugie pęto, bezzwłocznie zaczynając wspinaczkę.

Długo nie trwała. Pierwotne straszenie chłopca bezustannym i bezmyślnym szorowaniem pokładu, miało się nijak do okrętowej rzeczywistości. Pan masztowy szybko przekonał się, że jego nieistniejący stopień nakazuje poznanie masztów na całej ich długości i całej szerokości otaczającego je osprzętu. Włącznie ze współpracą z załogantami.

Już na górze dobiegł go niewyraźny jeszcze, dziwaczny dźwięk, ale dopiero kiedy uchylił drzwi i zajrzał do środka, zrozumiał jego pochodzenie. Przy toaletce, szykując się do zrzucenia z siebie sukni stała ciemnowłosa kobieta. I jodłowała. James nie rozumiał niemieckiego.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Felicjanna, dodano 09.03.2018 20:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.